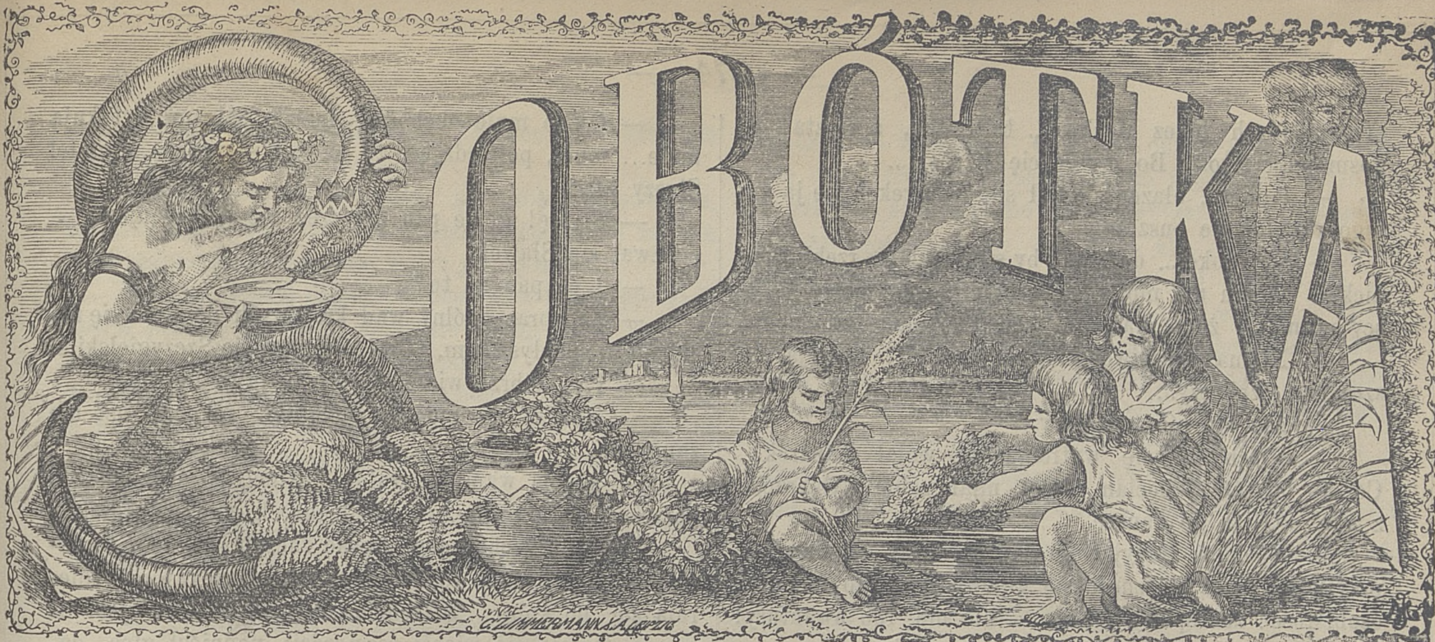


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 34. Poznań, dnia 21 Sierpnia 1869. Rok. I.

W MĘTNĘJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

W tęj samej restauracyi, w któréj powieść się nasza rozpoczynała, w bocznym pokoiku zachowanym dla ludzi lubiących spokój a mających szczególne względy w obec kelnera... siedział szlachcic ze wsi za stolikiem i trzymając w ręku nową gazetę, którą sobie podać kazał, czytał ją pół głosem, żżymając się i wykrzykując co chwila.

— A! niechże go djabli wezmą!

— A bodaj cię piorun trzasł...

— I to szlachcic pisze... kość z kości... swoje gniazdo kalając...

— Sto kaduków zjadł...

Po pokoju spokojny, z miną zrezygnowaną, z rękami w kieszeniach chodził Drabicki, nie okazując najmniejszego wrażenia...

Szlachcicowi czupryna się jeżyła, nareście zamaszysto porwał się z krzesła, cisnął arkuszem o podłogę i zdeptał go nogami w największym gniewie.

Szlachcic był z tych jeszcze, co się to na wysadki zostali z paszkowskiéj epoki, krwi rokoszanów, ognisty, sierdzisty, zawadyaka, gęba wyszczekana (z pozwoleniem), dłoń jak półmisek, ramiona i grzbiet jak u żubra, w głowie nie wiele, ale buta i fantazya, choć głową o mur. Znano go z tego, że się nikogo nie uląkł, że złomotał wielu, pił jak gębka, plótł, co ślina przyniosła... zresztą serce miał najpoczciwsze... ale ładu było nie pytać, ani w kieszeni, ani w głowie.

Zwano go panem Kanarkiem.

Nie było to nazwisko, ale przezwanie nadane mu z tego powodu, że od młodego chłopca odznaczał się misterném gwizdaniem naśladującém śpiew ptasi, a szczególniéj kanarki.

Kanarek był wściekle zły... Na wysiadaniu z bryczki pochwycił go Drabicki, zaprowadził do restauracyi, począł gawędę, przypominając lepsze szkólne czasy... i dał mu w rękę nową gazetę. — Patrzajno kochanie, co to ci ludzie piszą o was szlachcie!!

W dzienniku był bardzo słuszny, ale nieco ostry artykuł, malujący tych zardzewiałych, którzy pod pozorem zachowania obyczaju narodowego, pielęgnują wady i nałogi.... Nie wiedzieć, jakim przypadkiem autor artykułu, wystawiając typ hulaszczéj a próżnującéj szlachty, odmalował kubek w kubek Kanarka i nazwał go sobie panem Szczygielskim. — Przyszło mu to bez myśli... ale Drabicki zaraz zwrócił uwagę szlachcica... że pomiędzy szczygłem a kanarkiem zachodzi wielkie podobieństwo, że to jest niedarowana osobistość, że wytknięto go palcem i narażono na śmiech ogólny.

— Macie tedy waszych tych sławionych dziennikarzy... kość z kości! mówił redaktor... otóż to patrz, co dokazują! I oni mówią, że kochają tę świętą ojczyznę naszą... tę miłą macierz naszą starą, tę Polskę rycerską i szlachecką...

Drabicki teatralnie westchnął, podnosząc ręce do góry, Kanarek ujął go w szerokie ramiona, był wzruszony jego boleścią, kazał podać butelkę starego węgrzyna.

— Oby się nam dobrze działo!

— Kochajmy się! Pocałowali się ze łzami.

— To są zdrajcy ojczyzny — mówił po cichu Drabicki... nie zaręczam, żeby pomiędzy nimi nie było

przekupionych przez Moskwę... tak! tak, a reszta! to kosmopolici! to... Bo proszę cię Młyński...

— Panicz... błazen! ozwał się Kanarek... ale ja mu tego płazem nie puszczę...

— Daj pokój... do czego by się to zdało, rzekł Drabicki... Temu nie mogę zaprzeczyć, żeśmy ciebie wszyscy poznali... że namacalnie chciał odmalować ciebie...

— Niema wątpliwości! Szczygielski!! dam ja mu szczygła.. zobaczy...

— Ale nie rób awantury...

— Niech mi się wytłómaczy! wołał Kanarek... Cóż to on też za bocian, żeby miał sobie wybierać... z nas... O! ja go nauczę.

— Kochany przyjacielu — przerwał Drabicki — przyznaję, masz słuszność się gniewać, bo to infamia! osobistość! zaczepka wyraźna... ale nie rób awantury! Kanarek wypił swój kieliszek, oczy mu się paliły.

— Już ja wiem, jak sobie począć, ty mnie nie ucz... Będą na potem ze szlachtą ostrożniejsi...

Nalał drugi i wychylił, nie pamiętając już o Drabickim, któremu też o wino nie szło...

— A cała rzecz, dodał, że chcieliby was ze skóry odrzeć!... Oni jak was zaczną do składek, do ofiar, na różne instytucye napędzać, a szkółki zakładać, a ochronki, a czytelnie... pójdziecie z torbami... Lud, lud! i ja kocham lud, mówił Drabicki, ale bądź co bądź, siła u nas w szlachcie.

— Ale tak! przerwał Kanarek — lud będzie jeszcze bydłem sto lat... a bez batoga z nim nie podobna... między nami mówiąc. Co to gadać i to są deklamacye...

To mówiąc, podniósł gazetę z podłogi i przybliżywszy się do okna, odczytał raz jeszcze ustęp o Szczygielskim... Drabicki oczyma wiódł po twarzy, badając wrażenie.

Obiad był skończony, butelka także... Kanarek uściskał poczciwego Redaktora, nałożył czapkę na bakier, pasa poprawił, bo się nosił po polsku i wyszedł na ulicę...

Nie można zaprzeczyć, że miał minę gęstą, aż mu się co żyło ustępowało z chodników, bo laską wywijał, jakby tylko czyichś pleców szukał...

Na rynku przeciw kościoła, Kanarek z dala spostrzegł spiesznie idącego Młyńskiego. Z widzenia go znał, a nawet spotykali się nieraz na wsi... zobaczywszy go, podwójnym krokiem przeciw niemu pospieszył szlachcic... krew w nim na widok winowajcy się zburzyła. Drabicki z daleka, ale bardzo z daleka przyczajony z za węgła, przypatrywał się gotującéj scenie.

W pierwszéj chwili Kanarek powiedział sobie — palnę... ale potém się rozmyślił — trzeba rzeczy robić porządnie, powiedzą, żem burda.

I zbliżył się napuszony, ale czapki uchylając nieco.

— Podkomorzyca! witam.

Sławek bardzo grzecznie zbliżając się, rękę wyciągnął, Kanarek swoją cofnął.

— Czekajno pan z ręką, rzekł, a naprzód odpowiedz na pytanie, kto pisał tę infamią na szlachtę, coś to ją jegomość w swoim dzienniku wydrukował! tę! o Szczygielskim!

Sławek stanął zdumiony.

— A cóż to pana obchodzi?

— Co to mnie obchodzi! Ludzie palcami wytykują mnie... mnie, powiadając, że to jest satyra na... mnie! Słyszy pan!

— Słyszę! wcale pan krzyczeć nie potrzebujesz — odezwał się Sławek.

— I co pan na to?

— Że obraz ogólny wad krajowych do osób się nie stósuje... nie słyszałem, żebyś pan zwał się Szczygielskim.

— Pan dobrze wiesz, dla czego ja to mówię.

— Mówisz, co mu się podoba... nikomu ust nie zamykam.

— Ale ja wam bazgrałom jakimś, co swe gniazdo kalacie... usta zatulę, począł Kanarek coraz głośniéj.

Powoli przechodzący stawać zaczęli, gawiedź awantury między dwoma ludźmi porządnymi ciekawa... zbierała się do koła... Szlachcic dostrzegłszy, że jest na scenie, jeszcze się więcéj rozsierdził, podniósł głos, daléj rękę do góry, jakby miał ochotę uderzyć... W istocie nie zbywało mu na niéj, ale Sławek od kilku dni nosił rewolwer w kieszeni i z zimną krwią go z niéj wyjął. Widok rurki, ostudził zapał Kanarka...

— Masz szczęście, rzekł, żeś się opatrzył w repetyer, a byłbym ci dębczakiem dał naukę...

— Możemy się spróbować gdzieindziéj, chłodno odparł Sławek, kłaniając, jeśli wola i łaska...

— A dobrze! bo mam apetyt ci uszy poobcinać! zawołał Kanarek...

Podkomorzyc do tego rodzaju rozmowy nienawykły, zburzony rzucił mu kartę swoją, i odszedł. Szlachcic został w miejscu, hałasując jeszcze po węgrzynie, aż go ktoś ze znajomych wziął i siłą niemal do pobliskiéj kamienicy uprowadził. Ciżba już ludu zebrała się była patrzeć na to ciekawe widowisko.

Tegoż wieczora po całém mieście rozeszła się pogłoska, iż Kanarek zbił na gorzkie jabłko podkomorzyca i że z tego powodu ma pojedynek nastąpić.

W dwuznacznych wyrazach, z jadem pełnym złości gazeta doniosła o tém niby jako o awanturze zaszłéj w Paryżu. Drabicki ręce zacierał, ale stał sobie z boku, nie mięszając się do niczego.

Przed ludźmi poważnymi ubolewał wielce nad tém, iż do skandalów daje powód dziennikarstwo...

— Ale bo też, panie dobrodzieju! pozwalają sobie. Ja od tylu lat mam szczęście stać u steru dziennika, przecież mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że nigdy nie dałem powodu itd.

Tegoż dnia liczne towarzystwo zebrane było u hrabinéj Wartskiéj, a Samiel przyniósł na ucho gospodyni wiadomość o nieuchronnym pojedynku. Hrabina pobladła... Gniewała się mocno na Sławka... może dla tego, iż go wprzód zanadto lubiła... ale teraz żal jéj było biednego chłopca, bo Samiel dawał do zrozumienia, że ten Kanarek był strasznym antagonistą, strzelał jaskółki w lot, a w pałasze bijąc się, na kapustę ludzi siekał.

— Zmiłuj się pan.. nie mów nic o tém... boję się, żeby mi się Jadzia nie dowiedziała... to dziecko...

Podawano sobie wiadomość z ust do ust, przecież panienki miały co innego do czynienia i biedna Jadzia nie posłyszała nic...

Samiel wymknął się wcześnie, był bowiem jednym z sekundantów Sławka i na umówioną godzinę miał się

stawić w mieszkaniu szlachcica. Chciano tylko, żeby mu wprzódy węgrzyn wyszumiał.

Młyńskiemu nie zbywało na osobistéj odwadze, umiałby był życie dać bez wielkiego żalu, ale żal mu było rozpoczętego zawodu, walki i przyszłości.

Milcząc, ułożył papiery, napisał słów kilka, uporządkował pilniejszą robotę, smutném okiem rzucił na swój cichy pokoik, westchnął i zadumał się. Dał był pełnomocnictwo zupełne swoim przyjaciołom do ułożenia się o pojedynek, czas, miejsce, broń — warunki. Późno już gdy się Kanarek wysapał, zapukano do drzwi jego, Samiel i pan Rotmistrz von der Decke zameldowali się od podkomorzyca Młyńskiego. Swistał właśnie z zadziwiającym talentem — Jeszcze Polska nie zginęła.

— Co panowie rozkażą?

— Przychodzimy od Podkomorzyca...

— A no! uszy mu zawadzają... dobrze, rozprawim się... na co chce, od armaty do szpilki... mnie to wszystko jedno... Sekundantom w interesie klienta zdało się wybrać pistolety, można było przy strzale rachować na opatrzność, na szczęście, a zresztą na dobre oko i rękę Młyńskiego, gdy na szable walka by była nierówną. Wzrost Kanarka, siła jego dawały mu zbyt wielką przewagę.

Samiel więc zaproponował pistolety.

— A bardzo dobrze... wiele? o trzy kroki? Były to żarty, jednak umówiono się iść do baryery, a strzelać na komenderówkę.

— Przyznacie, że jestem powolny jak baranek — zawołał szlachcic — ale ja też podam warunek, od którego nie odstąpię. Niewiem, jak wasz szanowny gryzipiórek strzela, co do mnie, ja nie chybiam nigdy, mam więc nadzieję, że będzie zwierzyna. Pudła nie dam... Pocóż potém wozić się, nosić z nieboszczykiem... Będziemy się strzelali na cmentarzu...

Samiel zaprotestował.

— Ale co za myśl... zlituj się pan...

— Oryginalna! ja lubię pomysły oryginalne, widzicie. A ponieważ na nowym cmentarzu mogą być goście, którzy nam przeszkadzać zechcą, pojedziemy na stary cmentarz za miasto... pusto... i nikt się nas tam szukać nie domyśli — Rotmistrz i Samiel chcieli się sprzeciwić, ale nie było sposobu.

— Jakto? proszę acaństwa, rzekł szlachcic, jestem wyzwany, mam prawo wyboru broni, pozwalam na pistolety, choć wolałbym staropolską szablę... godzę się na najlichsze w świecie warunki, na taki szewski pojedynek... do baryery... a wy mi odmawiacie nawet takiéj małéj rzeczy... Cóż to ma do pojedynku, gdzie się on odbywać będzie, ja mówię na cmentarzu i nie ustąpię...

Męczono godzinę Kanarka, ale się zaciął, miał swoją fantazyą i nie chciał się jéj wyrzec za nic w świecie, potrzeba było przystać nareszcie... Dzień wyznaczono bliski, godzinę o rannym brzasku i dano sobie słowo honoru, że puści się pogłoska o zgodzie, ażeby nie wywołać interwencyi policyjnéj. Jakoż nazajutrz w mieście nosił po cichu Drabicki wiadomość, iż Młyński pobity i wyłajany przeciwnika przeprosił, uściskał i stchórzywszy... na wszelkie jego przystał warunki.

Ludzie trochę się temu wprawdzie dziwili, bo u nas bojaźliwość jest rzeczą rzadką... ale pogłoska potwierdzała się zewsząd... Sławek stchórzył...

Stary cmentarz za miastem, który dla zupełnego braku miejsc i niemożności rozszerzenia został od lat kilku zamknięty, był miejscem wcale do pojedynku dogodném. Szła wprawdzie tamtędy stara droga niegdyś, ale po usypaniu nowéj szosy, została prawie nieużyteczną i nieuczęszczaną. Drzewa, korzystając ze swobody, rozrosły się po nim przepysznie, ocieniły go, okryły, a pośrodkiem szedł wąwóz suchy, w którym się doskonale ukryć było można... Dawne, skromniejsze od dzisiejszych, grobowce, po większéj części z cegły, z wmurowanemi napisami, rozpadały się powoli... zielsko i chwasty je obejmowały... i rzadko która mogiła okazywała pamięć żywych o zmarłym, lecz latem bogata roślinność weselszym płaszczem nowego życia oblekała ruinę.

Dniało zaledwie, gdy niecierpliwy już Sławek w towarzystwie Samiela i Rotmistrza przybył do bramki jedną ścieżką, a drugą prawie w téj saméj chwili ze swymi przyjaciołmi zjawił się pospiesznie idący Kanarek... Dzień był wilgotny i mglisty, ziemia oślizła, szczęściem grunt piaszczysty samego cmentarzyska... dozwalał dogodne wybrać miejsce w wąwozie. Okolica pusta jeszcze była... cicho do koła, a z miasta dolatywał tylko dźwięk dzwonów wołających na ranną mszę do kościołów. Jeden po drugim budziły się sygnaturki małe i większe dzwony i różnemi głosy, szeroko rozchodzącemi się w powietrzu wilgotném — wzywały pobożnych na modlitwę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Marzenie.



Gdybym, jak małe ptaszę, dwoje skrzydeł miała,
Jak ono mogła wolna wzbijać się w obłoki,
Gdzie bystre toczy nurty Dunajec głęboki,
Ponad ojczyste moje Tatry bym wzleciała.

Ztąd ciebie, Polsko święta, objęłabym okiem,
I stęsknionéj bym duszy na chwilę ulżyła,
A wyżéj jeszcze taką modlitwą się wzbiła,
Że Pan by jéj wysłuchał na niebie wysokiém.

I z rąk braci męczeńskiéj spadłyby okowy,
Runęły ciężkie rygle strasznego więzienia,
A ponad szczyty Karpat wzleciał orzeł biały!

Na Jasnéj-Górze, u stóp Maryi-królowy
Lud polski na kolanach wzniósł dziękczynne pienia,
Trwożnie słuchałby w dali tyran osłupiały.

T...... R.


WOLNI Z WOLNYMI
RÓWNI Z RÓWNYMI
WOLNOŚĆ RÓWNOŚĆ
BRATERSTWO
1863
1848
1831
1812
RYC. i RYT. A. KARMAŃSKI
NA PAMIATKE TRZECHSETNEJ
ROCZNICY UNII
POLSKI LITWY RUSI 11 SIERPNIA
1569 – 1869 r.

O Unii Lubelskiéj

napisał

Wincenty Sarnecki.

RUŚ.

(Ciąg dalszy.)

Szczep słowiański siedział pierwotnie nad Dunajem; w V i VI wieku po Chrystusie mamy o nim wzmianki u starożytnych pisarzy. Ztąd został wyparty przez Rzymian rozpierających się swemi zdobyczami na północ. Ludy słowiańskie niepokojone w swych siedzibach, uorganizowane z natury do miłości, swobody i wolności, miały dwie ostateczności do wyboru, albo ugiąć karku pod jarzmo obce, lub opuścić ziemie swych ojców i szukać nowych siedzib ku północy. Nie poddały się ostateczności pierwszéj, nie zasłużyły więc na miano niewolników — sclavi, nadawane tak szczodrobliwie szczepowi naszemu, tém zadały kłam dzisiejszym uczonym niemieckim; — poszły one za drugą ostatecznością jakkolwiek niechętnie, gdyż właściwém jest szczepowi słowiańskiemu od najdawniejszych czasów życie osiadłe, rólnicze, w przeciwstawieniu do niższych w cywilizacyi ludów koczujących... Rozlały się tedy ludy słowiańskie na szerokiéj równinie środkowéj Europy, siedliskami swemi sięgając rzeki Elby i Odry, a Dniepru i Dźwiny z zachodu na wschód, zamknięte sąsiedniemi morzami, Baltyckiém i Czarném. Pewne grupy od rzek, nad któremi osiadają, przybierają miano Morawianów, Czechów itd. Zadaniem naszym jest rozpatrzyć się na ziemi między Bugiem, Sanem, Dniestrem i Dnieprem, czyli tak zwanéj Rusi. Są tu Bużanie, Drewlanie, Chrobaci i Polanie. Polanie ci w czasie wędrówek z nad Dunaju, osiedli także nad Wisłą. Mamy więc Polan nad Dnieprem i Polan nad Wisłą, co proszę sobie dobrze zapamiętać. Ludy słowiańskie, siedzące w tych stronach, posuwają się w górę Dniepru, siedzibami swemi docierają do Dźwiny, a przekroczywszy ją, dosięgają do jeziora Ilmen i nad rzeką Wołchowem zakładają Nowogród. Miasta Kijów i Smoleńsk nad Dnieprem, a Połock nad Dźwiną, im także winny swój początek. Jeżeli teraz rzucimy okiem na te ludy, to najwybitniéj z pomiędzy nich występują Polanie, dosięgnęli oni już pewnego stopnia uspółecznienia, zajmują się rolnictwem, a więc prowadzą życie osiadłe, mają swoje prawa, nie pisane wprawdzie, ale tradycyą po ojcach przechodzące, znają małżeństwo, kazirództwo na zawsze wygnane. Stan ich urządzeń społecznych wyżéj stoi od sąsiednich im ludów, którzy, jak Drewlanie, w lasach żyją i małżeństw nie znają. Nic też dziwnego, że wkrótce nazwy innych ludów giną, indywidualizm ich zaciera się wyższością kultury i stanem uspółecznienia Polan, tak, że ostatecznie tylko jedna nazwa i jeden naród mieszka w okolicach Dniepru tj. Polanie.

Dziwne są koleje ludów, moralny porządek świata jakoby rozmyślnie wtrącał je w niewolę obcych rządów, przychodzących zewnątrz, zanim te ludy nie wyrobią w sobie sił do niezależnego bytu, snać skazując je, by w szkole doświadczeń, upokorzeń, cierpień — dojrzały. Snać wtedy reakcya silniéj wybucha, żywioł narodowy pod ciężarem obcych rządów nabywa większéj sprężystości, a zebrawszy w sobie wszystkie siły żywotne, rozsadza pęta, ducha jego krępujące. Tak Anglia ulega czasowo Danom, Francya Anglikom, Hiszpania Arabom, Grecya Turkom, Moskwa Mongołom. Temu samemu losowi ulegli Polanie mieszkający nad Dnieprem. Od północy ukazały się bandy rozbójnicze Waregów. Ruryk, przywódzca jednego z ich pokolenia Rusów, opanował Nowogród, inni zaś posuwając swe zabory ku południowi, opanowali miasta założone przez Słowian, a Oskald i Dir zasiedli w Kijowie. Nowa fala najezdzców znów napłynęła z północy, wypierając swych poprzedników z opanowanych miejsc, i tak Oleg roku 880 wyparł z Kijowa Oskalda i Dira i podstępem zdobył miasto. Nie dosyć im było na tych zdobyczach, Światosław, wnuk Ruryka, sięgnął swemi zdobyczami na południe za Dunaj i osiadł w Peryasławcu. I olbrzymie powstało państwo z północy od Wołchowa, a na południe do Dunaju, a trzy wielkie miasta Nowogród, Kijów i Peryasławiec, w olbrzymich odległościach od siebie leżące, były niby słupy graniczne potęgi Rusów. Rozszerzyły się posiadłości Rusów za panowania Włodzimierza Wielkiego, syna Światosława. On to roku 981 zdobył na Polsce za panowania Mieczysława I Czerwieńskie grody wraz z Przemyślem. Tak więc cała okolica zroszona wodami Dniepru, Dniestru, Bugu i Sanu, dostała się pod panowanie obcych Rusów, znikła nazwa Polan, a wystąpiła narzucona przez najezdzców nazwa Rusinów, oznaczająca podbite ludy, poddanych, niewolników Rusów, cały zaś ten kraj zwał się Rusią. Odtąd aż do pierwszéj połowy XIII wieku istniały rządy obce na ziemi Polan.

Głośne jest panowanie Włodzimierza, on to bowiem spowinowaciwszy się z cesarzem carogrodzkim Bazylim, przyjął wiarę chrześcijańską obrządku greckiego i szerzył ją w swych posiadłościach, greccy i morawscy misyonarze zalali państwo Rurykowiczów, sam Włodzimierz zwalał posągi słowiańskie, wieszał malowidła greckie po świątyniach, metropolitów, archirejów, archimandrytów ustanawiał.

Polanie jednakże z nad Wisły nie przepomnieli swéj braci z nad Dniepru. Wpływ Polski, począwszy od Bolesława Chrobrego, oddziaływa na te prowincye w ciągu całych wieków, dowodząc niejako bezpośredniéj łączności jednego plemienia i wspólności interesów. Zdobycze Rurykowiczów sięgnęły granic Polski po brzegi Bugu i Sanu. Z początku panowania Włodzimierza panuje zgoda, a nawet pewne zbliżenie. Syn Włodzimierza Świętopełk został mężem córki Bolesława Chrobrego. Ale właśnie węzeł pojednawczy miał się stać kością niezgody. Biskup kołobrzeski Rejbern nawrócił Świętopełka na katolicyzm. Włodzimierz W. obrażony, więzi młode stadło i łączy się z Henrykiem cesarzem niemieckim, prowadzącym wówczas wojnę przeciwko Polsce. Bolesław z swéj strony wpadł z wojskiem na Ruś i zmusił przeciwnika do wypuszczenia na wolność Świętopełka. Odtąd aż do śmierci Włodzimierza, która przypadła roku 1015 panowała zgoda. Świętopełk, przybrany syn Włodzimierza, zwrócił swą zemstę przeciwko jego potomstwu. Padli już Borys, Chleb, Świętosław, mordy te powstrzymał Jarosław, jeden z synów Włodzimierza w Nowogrodzie. Przyszło do bitwy nad Dnieprem około Lubecza, Świętopełk pokonany uszedł do Bolesława, żebrząc pomocy.

Jarosław opanował Kijów, a idąc za przykładem swego ojca, łączy się z Henrykiem II i napada Polskę roku 1017. Chrobry zwyciężył Henryka II, a zabezpieczywszy się pokojem Budziszyńskim roku 1018, wyprawił się na Ruś. Nad Bugiem pokonał Jarosława, a następnie zdobył Kijów i przywrócił do władzy Świętopełka. Z tych czasów datuje się miecz Bolesława szczerbcem zwany. Król zabawił w Kijowie 10 miesięcy, w mieście słynném niezmierném bogactwem. W czasie powrotu u przeprawy przez Bug, próbował jeszcze raz szczęścia Jarosław i napadł na wojsko polskie, pobity znów uchodzić musiał. Po tém zwycięztwie zajął Ruś Halicką, Czerwieńskie grody, należące za czasów Mieczysława I do Polski, a zabrane przez Włodzimierza. Skoro jednakże Bolesław wrócił do Polski, niewdzięczny, pełen nieufności, zdradliwy Świętopełk, wyrznął pozostałe załogi polskie, a Jarosław

ośmielony nieobecnością Bolesława, napada Kijów, zdobywa go i wypędza Świętopełka, utwierdza się zaś przy swojéj zdobyczy przez płacenie daniny Polsce. Świętopełk, pamiętny swéj zdrady, nie śmiał udawać się do króla o pomoc i zginął marnie tułaczem.

Jarosław panował do roku 1054, a więc panowanie jego schodzi s ę z dziejami Polski pod Mieczysławem II i z czasami wewnętrznych zaburzeń od roku 1034 do 1040. To też nie czując żelaznéj dłoni Bolesława, przestaje płacić daninę i stawia się wyzywająco. Roku 1030 zajmuje grody Czerwieńskie (Ruś Halicką). Przyjaźniejsze odnawiają się stósunki z Kazimierzem Odnowicielem (1048—1058). Marya bowiem Dobrogniewa, córka Jarosława, wyszła za króla polskiego — ona wyjednała nawet pomoc ze strony ojca dla Kazimierza, w celu uśmierzenia niepokojów wewnętrznych spowodowanych wichrzeniem Masława (1041—1047). Mimo to grody Czerwieńskie pozostały w rękach Jarosława.

W one czasy słynął Kijów niezmierném bogactwem, o czém wiemy dokładniéj z opisów wypraw Bolesława Chrobrego, gdzie wśród wygód, zbytków, pięknych kobiet i wszelkich przyjemności, do jakich wygórowany dobrobyt prowadzi, wojsko królewskie, zahartowane w trudach obozowych i przywykłe do życia twardego w kraju, w Kijowie płynącym złotem i mlekiem zniewieściało. — Myliłby się jednakże, ktoby sądził, że panowanie Rusów to bogactwo kraju spowodowało. Przyczyny jego leżały głębiéj, a władza skupiona w jednéj ręce tak Włodzimierza, jak Jarosława, utrzymując porządek i spokój w kraju, u'rzymywała zarazem stan bogaty miasta, już istniejący przed ich przybyciem. Długie panowania tych władzców, Włodzimierz bowiem panuje lat 25 a Jarosław 38, stósunkowo do chwil zaburzeń, błogo bez zaprzeczenia wpływały na kraj. Nie chcąc się mierzyć z opisem Lelewela, schylamy pokornie czoło przed geniuszem i przytaczamy jego ustęp:

„Któryż gród słowiański mógł się naówczas z Kijowem równać? Gród przepyszny! z dawna już liczył czterysta wież cerkiewnych, wielkość jego i bogactwa sławione po świecie, pisarze zachodu powtarzali, że Polska tyle była znana, ile przez nią droga do Kijowa przechodziła. Na wzgórzu zbudowane, roztoczyło po niżéj swe skrzydła, słobodę Peczerską i Padoł po nad Dnieprem na dole rozciągły. Tu targi i kupla z lądu i wody żywo się spotykały, a cała siła, cała świetność grodu na górze. Wiekiem wzmocnione mury rzetelną stanowiły wielkiego grodu dumę. W nich cerkiew i monastery, Michała Archanioła, świętego Bazylego, Dziesiętnicy czyli narodzenia dziewicy, a najwspanialsza cerkiew metropolitalna świętéj Zofii W niéj z marmuru grobowiec Jarosława Wielkiego. Na co Grecya zdobyć się mogła w biegłości architektów, budowy te od posadzki aż do sklepień postroiła. Wyżéj nad wszystko wznosił się warowny Peczerch, obejmujący monaster z pieczarami, w piaskowéj skale secinami zaschłych ciał liczącemi. Pobożny pielgrzym z bogobojném uczuciem te cudotworne odwiedzał przybytki, a łakomstwo bezbożnika nie śmiało do zasobnych składów łupiezkiéj posiągnąć ręki. Gród wspaniały, serce Rusi, stu grodom podrzędnym, stu księstwom przewodniczący, z półtora kroć sto tysięcy mieszkańców liczący, szanowany od wszystkich bratnich najeźdźców.“

Powiedzieliśmy, że myliłby się, ktoby sądził, iż potęgę Kijowa stworzyła władza Rusów. Liczba kościołów, choćby bogatych nie znosi jeszcze bynajmniéj nędzy w samém mieście. Także w stósunku do zamożności Kijowa nie wystarczało panowanie dwóch władzców, by jakby pod różczką czarnoksięską wszystko powstało. Za krótkie było ich panowanie dla stworzenia takiego bogactwa. Rurykowicze zastali już bogaty materyał, z którego bogate cerkwie stawiać mogli. Przyczyna bogactwa leżała głębiéj, w łonie wieków, w geograficznem położeniu miasta, ułatwiającém prowadzenie handlu. Kijów ówczesny przedstawia się niby ognisko wszystkich dróg handlowych z południa na północ, ze wschodu na zachód krzyżujących się. Gród położony nad ogromną rzeką, blisko morza, ze Wschodem stósunki ułatwiane. Z Grecyi płynie złoto, bogate bławaty, owoce, wino, z Węgier, Czech, Niemiec konie i srebro, sama Ruś dostarcza futer, wosku, miodu, a z łaski Rurykowiczów niewolników. Jestto wreszcie tradycyonalne u Waregów, że porywając Słowian, handlowali nimi na południu od granic dalekiego wschodu, aż po brzegi Andaluzyi arabskiéj, ściągając tym sposobem na Słowian nazwę Slavi w Sclavi. Ludność wskutek handlu niezmiernie wzrastała, mnożyły się sioła i swobody, a z tych ostatnich powstawały grody. Szczególniéj dawne grody wzmagały się w ludność. Dowodem tego, iż w Smoleńsku powietrze 40,000 ludzi zabiło, ludność pozostała, przerażona, rozbiegła się — wkrótce po téj klęsce miasto liczy się do najludniejszych Ludność ta słowiańska nienawidziła książęcéj czeredy z Waregów złożonéj, w Kijowie i Nowogrodzie lud się burzył na nich i wyrzynał. Włodzimierz i Jarosław krwawo karali naród, ale snać niepewni swéj siły, woleli pozbywać się podstępnie swoich band waregskich, a opierać się na ludzie słowiańskim. Wkrótce też przestały napływać nowe czeredy, tak czynił Jarosław. Po śmierci swych braci on objął wszystkie zdobycze Rurykowiczów, a oparty na bogactwie kraju, nabrał ogromnéj sławy— rodzina jego wchodziła w śluby w Francyi, Polsce, Węgrzech, Norwegii, Niemczech i Grecyi. Te powinowactwa dodawały niezwykłego blasku jego panowaniu. Opierając się na téj potędze, mógł łatwo w obec zawichrzeń w Polsce sąsiedniéj odebrać grody Czerwieńskie (Ruś Halicką).

Tak więc żywioł najezdniczy dotychczas bez podstawy bytu, wywodzący swe istnienie z band rozbójniczych, znalazł dla siebie grunt pożywny, gdzie zapuścił głęboko korzenie, a nie tworząc nic nowego, żywił się już istniejącym zasobem bogactwa Polan naddnieprskich, otaczając się fałszywym blaskiem niezasłużonéj chwały. Tak też chwała ta nie jest długą, kończy się z panowaniem Jarosława Wielkiego. Następne wieki odsłonią całą nicość, próżnię i beztreściwość ducha waregskiego, który zrujnowawszy żywotność samodzielną Słowian między Bugiem, Dniestrem, Sanem i Dnieprem, na jéj miejscu nic nowego postawić nie umiał i nie mógł. Potęga ich słabnie, wpływy inne, nowe siły żywotne wchodzą w górę — wreszcie upada na zawsze istnienie Rusów, jak wszystko co żyje życiem zapożyczaném, żywi się sokiem obcym jak pasożyt, wysysa krew ciepłą z organizmu zdrowego zawojowanych ludów, niby pijawka. a nie wyrobi w sobie samodzielnéj siły życiodawczéj — prawa bytu. Pójdą, jak przyśli, nie pozostawiając po sobie nic innego nad nazwę Rusi zdobyczom swoim, miano Rusinów Polanom naddnieprskim i hołdownictwo hordzie tatarskiéj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Urywki z wspomnień uniwersyteckich z r. 1846.

List V. Do Pani E.

Szanowna Pani! Kreśląc dalej charakterystykę młodzieży polskiéj na uniwersytecie moskiewskim, nie mogę pominąć milczeniem Waleryana Tomaszewicza. Urodzony w wileńskiéj gubernii, po ukończeniu gimnazyum wileńskiego, wstąpił do akademii wileńskiéj medycznéj, z zamiarem poświęcenia się zawodowi lekarskiemu.

Wykryty spisek, tak zwany Konarskiego, poprowadził Tomaszewicza wprost z ławy akademickiéj do więzienia. Przebył w niém parę lat... Parę lat więzienia moskiewskiego... to wieki całe rozmaitego rodzaju tortur i kaźni. Złamać one zdolne człowieka żelaznego... a cóż dopiero młodzieńca z niesłychanie bujną fantazyą i wrażliwą duszą, jaką właśnie Tomaszewicz posiadał. Zwolniony, złamany na duszy i ciele, bez żadnych środków materyalnych z zapartą drogą do służby publicznéj, dla podtrzymania życia poświęcił się guwernerce.

Oszczędziwszy sobie tyle grosza, ile koniecznie potrzeba było na podróż do Moskwy, przyjechał tu w r. 1846 z zamiarem ukończenia uniwersytetu Koledzy natychmiast zajęli się nim... wstąpił na wydział matematyczny. Byłto młodzieniec wielkich zdolności... Więzienie wszakże moskiewskie... złamało go. Na twarzy jego nader sympatycznéj, malowały się te wszystkie cierpienia, które przeżył. Średniego wzrostu, z włosem długim, jasnym blond, okiem niebieskiém, o rysach miękkich, niewieścich prawie — z owym półuśmiechem boleściwym, przedstawiał obraz człowieka przybitego, znękanego tak, że mimowolnie żywą sympatyą budził dla siebie. Przybycie jego do uniwersytetu uprzedziła wieść o jego cierpieniach i jego pracach literackich. To samo zjednało mu już najlepsze przyjęcie — a muszę przytém dodać, że literat w oczach naszych był jakąś wyższą istotą. Wyrywaliśmy sobie z ręki niemal jego wspomnienia akademickie, które drukował w piśmie redagowaném przez siebie i Filipowicza, pod tytułem: Lud i Czas. Odczytywaliśmy z wielką gorączką jego recenzyą, jaką napisał na poemat Sowy — Jordana. Znajdowaliśmy wszystko pięknem, doskonałém... Nad te jednak rzeczy, nieskończenie większą wartość miały jego tłómaczenia dramatów Szylera, a mianowicie: Sprzysiężenie Fieska i Don Karlos; ostatni przełożony wierszem białym. Tłómaczenia te krążyły pomiędzy nami w rękopiśmie, który nigdy nie był drukowanym, a szkoda, bo powtarzam, tłomaczenia te pod względem oddania piękności oryginału i piękności języka, warte były wydania. Zjawienie się pomiędzy nami Tomaszewicza, zwłaszcza początkowo wywarło na nas wpływ niemały. Zawiązały się natychmiast rozmaite kółka, na których odczytywano rozmaite wypracowania. Powstała ogólna — szlachetna emulacya, w szranki któréj nawet najmniéj zdolni stawali. Prędko to jednak przeminęło — brak sił i odpowiedniego wykształcenia, brak podstawy naukowéj, zerwał te zebrania. Młodzież wróciła do nauki — czując, że bez jéj soków pożywnych — dzieło tworzenia... niepodobne. Wreszcie i sam Tomaszewicz, który wywołał ten objaw życia... wkrótce odstrychnął się od młodzieży. Choroba duszy, która zdawało się, iż w otoczeniu, w jakiém żył, pod prądem tylu serc młodych żywo bijących znikała — odezwała się z nową siłą. Zaczął od tego, iż porzucił wydział matematyczny, żaląc się, że suszą jego serce rozmaitego rodzaju formułami, których znieść nie może. Przeszedł więc na wydział filozoficzno-historyczny — ale i na tym z tych samych powodów długo nie popasał. Na wydziale więc prawnym szukał przytułku, utrzymując, że ten z swą nauką żywą, dotykającą najżywotniejszych zagadnień spółecznych pogodzi go z goryczą i kwasami życia. Nie mógł zrozumieć biedny złamany, że nie w nauce była gorycz, ale w duszy jego schorowanéj, którą Moskale aż do przesytu cierpieniami wszelkiego rodzaju napoili. Nie mógł on nigdy odpędzić od siebie mary, że go Moskale szukają i nowym kaźniom poddać usiłują. Pewnego wieczora wpadł do mnie blady, jak trup i z największą rozpaczą błagał, by go gdzie ukryć, bo go Moskale ścigają. Przestraszony, zrobiłem wszystko, co było możliwe... czekam dzień, dwa... nikt o Tomaszewiczu nie pyta się. Powiadam mu to... z ukrycia przez tydzień wyjść nie chciał, dowodząc, iż lada chwila po niego przyjdą. Innym razem znika znów z oczów wszystkich; niepodobna dociec, co się z nim stało. Po miesiącu odbieram od niego list, wzywający mnie, abym przybył do niego. Biegnę i znajduję go na samym końcu Moskwy, w izdebce brudnéj i maleńkiéj, w największéj nędzy — zbiedzonego do najwyższego stopnia. Dość powiedzieć, iż cały miesiąc żył tylko chlebem i ogórkami... Była chwila, iż zdawało się, że stan zdrowia jego poprawia się... Księżna Radziwiłł, któréj syn Wilhelm był na wydziale prawnym, wzięła go za towarzysza dla swego jedynaka... Otoczony tam został wszelkiemi wygodami... Mimo to wszystko, choroba duszy wzmagała się gwałtowniéj jeszcze... Wyjechał z uniwersytetu. W kraju pomiędzy swoimi odżył... Wziął się czynnie do pracy, wraz z Filipowiczem ułożył słownik chemiczny polski, należał czynnie do redakcyi Kuryera Wileńskiego... w pracy téj stracił wzrok. Dla porady lekarskiéj wyjechał do Paryża, gdzie, jeżli mnie pamięć nie zawodzi, w roku 1861 życie zakończył. W parę miesięcy po nim, umarła jego żona... nie mogąc przeżyć straty człowieka, którego całą duszą ukochała i dla którego podczas całéj jego choroby była prawdziwym aniołem stróżem. Umyślnie dłużéj zatrzymałem się, przy téj sympatycznéj postaci, aby Ci Szanowna Pani jeszcze jeden przedstawić więcéj obrazek braterstwa moskiewskiego i téj ich dziwnéj umiejętności, z jaką umieją łamać życie i zdolności. Dzięki im, Tomaszewicz był męczennikiem na téj ziemi... Nie wymieniam innych mych kolegów; jedni z nich cierpią męki wygnania... drudzy stokroć więcéj cierpią na Syberyi... inni wreszcie, pozostając w kraju i nie mieszając się do polityki, w cichéj pracy — obowiązki obywatelskie pełnią.

A teraz inny typ. Pomiędzy innymi był w uniwersytecie Dyb... Minczuk. Chodził na wydział medycyny. Pamiętam go jak dziś. Szeroki, barczysty, dobrego wzroku, oczów ciemnych, dużych, świecących — energicznie patrzących. Nie był, jak to mówią, ładnym, ale miał w sobie coś takiego, co od razu do niego pociągało. Grał pięknie na fortepianie, zdolnościami obdarzony był nie pospolicie. Ale był tak gwałtowny, tak gwałtowny... że wyobrazić sobie trudno gwałtowniejszego.. a hardy, jak geniusz. Pamiętam, że kiedy grał z Adamem Ch., a ten choćby na pół nuty sfałszował, to D. wpadał w taką wściekłość, iż porywał cały fortepian, usiłując takowym uderzyć swego akompanienta, który ze strachu bladł jak chusta. Najmniejsza rzecz poruszała go do żywego — a rozpalała tak, że nie umiał nad sobą panować Czuł to wszystko... starał się zreformować... a jednak reforma nie szła mu po myśli. Pewnego razu gospodarz, u którego D. mieszkał, nie posłuchał go, czy téż nietrafnie się się odezwał do niego; D. nie wiele myśląc, w uniesieniu porwał za szpadę studencką i uciął Moskalowi ucho. Sprawa wytoczyła się do uniwersytetu. Kurator Strogonow nakazał stawić się przed sobą D., wziął on jednak na kieł i ani myślał o posłuchaniu rozkazu. Zapomniałem jeszcze powiedzieć Szanownéj Pani, że zwyczajnie chodził on z grubym kijem — wielka to była zbrodnia w oczach inspektora i wszystkich subów. Ale znali Dyb... udawali więc, że nie widzą go i nigdy nie zaczepiali. Kurator postanowił znaglić go do stawienia się i inaczéj nie mógł zrobić. Trzeba było widzieć inspektora i wszystkich subów, jak uwijali się koło Dyb., namawiając go i prosząc do stawienia się. Dyb. był głuchy na wszelkie prośby i przedstawienia. Prośby kolegów nic również wskórać nie potrafiły. Skoro wszystkie środki zostały wyczerpane, kurator nakazał sprowadzić go siłą. Kilkunastu inwalidów sprowadziło go do kuratora. Co to konfederacya? zapytał go zaraz na wstępie kurator. Bądź pan łaskaw objaśnić, mnie co to takiego konfederacya, odpowiedział D. umyślnie opuszczając tytuł kuratora Strogonowa: Wasze Sijatelstwo. Kurator zahuczał gniewnie, chodził gwałtownie po po-

koju, krzycząc: won, won, natychmiast. Inspektor zbladł, jak trup, a trząsł się jak liść wiatrem miotany, tylko D. nie stracił ducha. Zamiast wyjść z pokoju, siadł sobie najspokojniéj na krześle, dumnie odpowiedziawszy: Dyb. nikt nie śmie wypędzać za drzwi i D. wówczas pójdzie, kiedy sam zechce. Kurator usłyszawszy to, wyszedł do drugiego pokoju, zkąd dopiero po niejakiéj chwili powrócił, a podszedłszy do D. w wyrazach nader uprzejmych prosił go, aby go zechciał samego zostawić, bo jest bardzo za ęty. D. wówczas powstał z krzesła, a skłoniwszy się grzecznie wyszedł. Za to wszystko osadzonym był w areszcie aż do dalszéj decyzyi. Chodziło jedynie o to, by kuratora przeprosił — bo sprawa o ucho w téj nowéj awanturze zniknęła, — nikt więcéj o niéj nie wspomniał, — z obciętym uchem był mieszczanin, a obrażonym został hrabia. D. do przeproszenia żadną miarą nakłonić się nie dał i areszt z stoicyzmem wytrzymywał. Zniecierpliwiony kurator, dał mu consilium abeundi, czyli uwolnienie z uniwersytetu. Po roku wszakże, za wstawieniem się poczciwego inspektora, o którym Szanownéj Pani w poprzednich listach pisałem, znów wpośród uczniów uniwersytetu przez tego samego kuratora przyjętym został. Za następcy Strogonowa, podobne sprawki, nie uszłyby tak na lekko. Następcą tym był Gołochwastów, człowiek nędzny i ograniczony, znający się tylko dobrze na koniach. Zaprowadził on zaraz po objęciu władzy straszliwą karność pomiędzy studentami, a najmniejsze zboczenie pociągało za sobą wydalenie z uniwersytetu, lub nawet oddanie w sołdaty. Uważał on uniwersytet za coś podobnego w rodzaju kadetskich koszar. Nienawidzili go wszyscy, począwszy od studentów aż do profesorów. Był on poprzednio pomocnikiem kuratora — wszakże przy kuratorze nie wielka była rola. Dopiero, kiedy został kuratorem, dał folgę swym pasyom. Jak był ograniczonym, to najlepiéj przekona się Szanowna Pani z faktów, jakie opowiem. Zwyczajnie tego rodzaju ludzie mają pretensyą znania się na wszystkiém i rozprawiania o wszystkiém. Szczególniéj lubiał asystować egzaminom. Raz więc asystując egzaminowi medyków z chorób umysłowych (psichiatryi), zapytał się studenta, czy człowiek bez serca żyć może? Student spojrzał nań takim wzrokiem, jakim człowiek zwyczajnie spogląda, gdy pragnie zgłębić, czy w pytaniu jest żart, czy prawda; zaczém jednak zdołał wyprowadzić wniosek z swych badań, już Sokolski profesor swym ironicznym, kolącym i do głębi duszy przenikającym głosem odpowiedział: „Może — nawet bez głowy i głupie pytania robić.“ Na taki argument ad hominem, Gołochwastów porwał się z miejsca i wyszedł. Innym razem, będąc obecnym przy egzaminie z rzymskiego prawa, zrobił znów zapytanie Daniłowiczowi, synowi znakomitego naszego prawoznawcy i profesora, najprzód w Wilnie, a następnie w Moskwie; jaka różnica pomiędzy Juliuszem Cezarem, lub Pompejuszem, a Menszykowem lub Byronem? Profesor Kryłow dał mu taką odpowiedź: Zmiłuj się Wasze Prawoschoditelstwo, alež Cezar, Pompejusz, to olbrzymy — to idee, które kompletnie nas wielkością swą gniotą; w obec nich i przy nich człowiek czuje się pigmejczykiem.. tymczasem Menszyków, Byron, to po prostu faworyci, froterzy dworscy; zatém... mów Pan daléj, tak zakończył, odwracając się do studenta. To: zatém... było zabijającém, zwłaszcza że Kryłów wyrazowi temu nadał dziwnie sarkastyczny akcent, a którego umiał tak w porę i właściwie używać. Gołochwastów mimo swéj ograniczoności, zrozumiał dobrze cios — i błyskawicą wyniósł się z audytoryum. A jednak człowiek ten tak ograniczony, zarządzał lat kilka uniwersytetem. Epoka jego rządów, to chwila najsmutniejsza dla uniwersytetu. W owym czasie po stłumieniu na Zachodzie rewolucyi, tych rewolucyi, które jak meteory szybko powstawały i również szybko znikały, po stłumieniu powstania węgierskiego, Mikołaj, zwycięzca postępu, rozszalał się w swéj dumie i rozpoczął cały szereg najwsteczniejszych urządzeń rozwijać. Niektóre katedry kazał poznosić — ograniczył liczbę studentów w uniwersytecie — nakazał ściśle noszenie formy — zniósł obieralność rektora — poddał uniwersytet policyi, słowem, postawił uniwersytet na równi prawie z zakładami wojennemi. Gołochwastów do podobnego stanu rzeczy dziwnie się nadawał!... Dalsze szczegóły, do następnych listów odkładam.

Franciszek D...

ROZMAITOŚCI.

(Przemyślny restaurator.) Podczas wielkiéj uroczystości odbytéj w maju w San-Francisco z powodu ukończenia olbrzymiéj kolei żelaznéj przerzynającéj całą Amerykę Północną, wpadł pewien restaurator, który już był bliski bankructwa, na szczególniejszy pomysł. Chcąc korzystać z obecności nieprzeliczonych tłumów, które się zebrały ze wszystkich stron Ameryki, urządził koncert w najobszerniejszym ogrodzie i zapowiedział plakatami po ulicach, że ta panna, która zaszczyci jego koncent w towarzystwie najliczniejszych adoratorów, otrzyma 500 dolarów. O téj pięknéj i nie trudnéj do nabycia sumce rozeszło się wkrótce wieść po całém mieście, podawały ją sobie młode młodym, stare panny starym. Na godzinę przed rozpoczęciem koncertu napływ ciekawego ludu do ogrodu był tak wielki, że trzeba było dla odbieania wstępnego drugie zrobić wnijście. Niebawem zaczęły przybywać panie z orszakami swych wielbicieli. Najmniejszy orszak wynosił ośmiu trabantów, ale pojawiały się na owym koncercie i takie gwiazdy, około których po dziesięć, dwanaście — do piętnastu nawet planet krążyło. Ciekawość zgromadzonych była wielka, która z pięknych współzawodniczek odniesie palmę zwycięstwa. Liczba piętnastu zdawała się mieć najpewniejsze prawo do nagrody. Aż pod koniec koncertu zjawiła się słynna z swéj piękności Miss Liedsey, a za nią pociągnęło sznurkiem 76 wielbicieli ich wdzięków. Jéj téż przyznano nagrodę.

* * *

(Sprostowanie.) W numerze 33 „Sobótki“ w artykule „O klasztorach w Poznaniu“ podaliśmy mylnie, że szpital urządzony w klasztorze Sióstr Miłosierdzia jest pod kierownictwem Drów. Mateckiego i Sęckiego. — Szpital Szaretek jest podzielony na dwie stacye, zewnętrznie i wewnętrznie chorych, z których pierwsza stacya znajduje się pod kierownictwem Dr. Mateckiego, a druga pod kierownictwem Dr. Kaczorowskiego, który równocześnie jest ordynującym lekarzem w szpitalu miejskim.

* * *

Szarada.

Pierwsze na wiosnę mostom szczutka daje,
Drugie, to całość ze ściegów złożona.
Pierwsze i trzecie lubią chłodne gaje,
Barwa ich skrzydeł niebiesko skropiona.
Drugie i trzecie przymiotnik utworzy
Od zatrudnienia pana Herostrata.
Całość zaś znane wszystkim imię złoży.
Spojrzéj przed siebie — a znajdziesz do kata.

(Rozwiązanie szarady w nr. 33: **Batory.**)

Wiadomość o nowych książkach.

Na pamiątkę 300letniéj rocznicy Unii Lubelskiéj, wyszły nakładem Juliusza Wilda w Krakowie:

Unia Lubelska z poglądem na stósunki zachodzące między Polską, Litwą i Rusią od początku ich powstania, aż do zupełnego połączenia się na Sejmie Lubelskim r. 1564 — z załączeniem kopii Unii Horodelskiéj i Lubelskiéj, tudzież herbów województw, księstw i ziem składających dziedzictwo ojców naszych skreślił, Wincenty Sarnecki. Cena 20 sgr.

Upominek dla młodzi polskiéj, na pamiątkę trzechsetletnią Unii Lubelskiéj napisał Władysław Bełza. Cena 10 sgr.

PUSZKA DO LISTOW.

Panu W. J. M. pod Kiszk. Dziękujemy za pamięć. Załączoną książkę prześlemy w upominku jakiemu uczonemu Towarzystwu. — Panu Fier. z Grodz.: Im zręczniéj zbudowane, tém lepsze. — Panu F. S. w Śmiglu: Prosimy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznanniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.